

ZYGFRYD JUSZCZYŃSKI

ur. 1937; Derewiczna

Miejsce i czas wydarzeń	Świdnik, PRL
Słowa kluczowe	Świdnik, PRL, WSK Świdnik, stan wojenny, strajk, wojsko, czołgi, ZOMO, zamknięcie zakładu

Stan wojenny w WSK Świdnik

Była niedziela. Ponieważ często odwiedzałem swoich teściów koło Kazimierza, akurat wtedy tam byłem. Pierwsze wrażenie było takie, że po włączeniu telewizora, okazało się, że nie działa, potem się pojawił generał Jaruzelski i wtedy już było wiadomo. Trzeba było jechać do domu, bo będzie godzina policyjna, będą utrudnienia. W poniedziałek normalnie na godzinę siódmą wszyscy poszli do pracy. Nikt nie powiedział, żeby nie przychodzić, więc dla każdego było jednoznaczne, że trzeba iść, bo praca to jest praca. Jest godzina wyjścia, wszyscy przyszli do pracy i wtedy znowu na bazie działającej komisji zakładowej Związku Zawodowego „Solidarność” powstał komitet strajkowy. Ogłoszono, że nie wychodzimy i tu się zaczął właśnie strajk okupacyjny. Wówczas, przed rokiem 1980, 98 czy 99 procent ludzi pracujących było związkowcami Związku Zawodowego Metalowców, natomiast już w 1981 roku, większość była w „Solidarności”. ZZ Metalowcy dalej funkcjonował, tylko pozostał już bardzo skromny. Role ustalania tych wszystkich porozumień i uzgodnień z dyrekcją pełniła Komisja Zakładowa „Solidarności” i na jej członkach spoczął obowiązek przejęcia odpowiedzialności za to. Został zarządzony strajk okupacyjny. Przez dwie doby nie wychodziliśmy, to był 14,15 grudnia i mieliśmy za zadanie bronić zakładu, czyli nie puszczając tu nikogo i czekać na to, co się będzie działo w całym kraju, pozostawiając zakładowej komisji strajkowej, komitetowi strajkowemu uzgodnienia między innymi zakładami. Nasz komitet strajkowy, wobec założenia, że nie wychodzimy, rozdzielił zadania dla poszczególnych grup pracowniczych. Ponieważ zakład to dość spory teren, sporo ludzi pracowało, trzeba było go w jakiś sposób patrolować czy nie wpuszczać ludzi. O godzinie 15:00 w poniedziałek kobiety mogły pójść do domu, mężczyźni mieli obowiązek zostać i zostali. Delegacje strajkujących stanęły na bramach, czyli obok strażników, straży przemysłowej, która codziennie stała jako ochrona zakładu i już ograniczono wypuszczanie ludzi. Poza tym były utworzone dyżury w różnych miejscach, ponieważ takich zewnętrznych wejść jest kilka w zakładzie. Zabarykadowano je poprzez

ustawianie przy bramach wózków akumulatorowych, jakiś przyczep autobusowych i samochodów ciężarowych, w ogóle jakiś takich ciężkich rzeczy. Błędnie uznano, że to jest jedyne wejście. Później się okazało, że te barykady przy bramach, to był właściwie symbol, bo one nic nie znaczyły w obecności czołgu. Niemniej jednak były. Moja komórka, czyli moje miejsce pracy, współpracownicy, w ogóle pion techniczny, miał za zadanie obsługę i ochronę centrali telefonicznej i radiowęzła. Ponieważ telefony były wyłączone, w zasadzie pozostał radiowęzeł i co kilka godzin patrolowaliśmy, żeby się tam nie kręcił nikt podejrzany. Radiowęzeł był głównym środkiem komunikacji dla wszystkich pracowników, bo jest rozprowadzony po całym zakładzie, wszędzie jest słyszalny. Cały czas, przez radiowęzeł, był podtrzymywany ten duch, morale, przez piosenki, muzykę, jakieś przemówienia, czytanie jakichś opracowań z drugiego obiegu. Przez całe te dwie doby radiowęzeł był czynny jako kontakt ze światem. Wszyscy wiedzieli co się dzieje, bo mówiono o tym w radiowęzle. Na miejscu pracy żeśmy spali i przede wszystkim dyżurowali w wyznaczonych miejscach. Była zimna, zimno, kilkanaście stopni mrozu, wiatr. W nocy 15 grudnia wiedzieliśmy już, że się coś będzie działo, bo wcześniej, poprzedniej nocy czołgi jeździły po mieście. Ponieważ kobiety na ogół poszły do domu, nie miały obowiązku uczestniczyć w tym strajku, władzy chodziło o wywołanie paniki i obaw, w czym miały „pomóc” czołgi jeżdżące po mieście. W wiadomościach podano, że ten zakład upadł, tamten zakład upadł czy poddał się. Budynek, w którym pracowałem miał akurat okna na lotnisko – otwarta przestrzeń – i na szosę Mełgiewską. Widziałem, że w pewnym momencie, około północy, był ogromny ruch na tej szosie, było widać, że jadą samochody, jeden za drugim, i wszystko się zgromadziło wokół zakładu. Były jakieś apele, jakieś przemówienia, jakieś czołgi podjechały pod bramy, zaczęli strzelać z petard czy może też z tych czołgowych i gdzieś koło godziny drugiej po prostu zaatakowano zakład, omijając te bramy, które były zabarykadowane. Zakład jest ogrodzony wokół płotem, parkanem z płyt betonowych – czołg wjechał tam gdzie chciał. Wejść było chyba trzy, więc czołgi wjechały z trzech różnych stron, po prostu obok bramy, przełamując płoty. Zaczęły strzelać z petard, a za nimi wojsko i ZOMO, mieli jednoznaczne zadanie: wyprowadzić ludzi z zakładów, czyli uwolnić zakład. Naszą jedyną bronią było to, że my pilnowaliśmy swojego miejsca pracy, a oni chcieli nas tego pozbawić. Atakowano gazem łzawiącym i strzelano, na pewno w większości ze ślepeków, ale jak później oglądano te miejsca, było widać, że pojawiały się i ostre naboje, na murze były widoczne miejsca po kulach, ale to raczej w górę. Czasem wrzucono petardy do budynku – dym i gaz. Wszędzie był gaz. W końcu weszli do budynków, ponieważ jak zaczęto tym gazem obrzucać, opuściliśmy budynki. Na przestrzeni wolnej łatwiej było znieść gaz łzawiący niż w budynku. Jak ktoś nie wyszedł, to wpadał zomowiec, rzucił mu gaz łzawiący i po prostu zmusił do wyjścia. My, w moim rejonie, zgrupowaliśmy się przy budynku. Otoczono nas z trzech stron, ukierunkowując na bramę i wypchnięto nas, dosłownie wypchnięto, jak ktoś się stawiał, to dostał parę pałek. Koło trzeciej w nocy, zaczynając od północnej części

zakładu, tam było moje miejsce pracy, już mniej więcej wszystkich strajkujących, ze wszystkich stron skierowano na bramę główną przez park. Myśmy wychodzili jako jedni z ostatnich. W tym najdalszym rejonie, w parku, był szpaler z zomowców, czołgi stały. Spokojnie, bez żadnych bijatyk, tylko w tym szpalerze zostaliśmy wyprowadzeni poza zakład. Szesnastego przyszła godzina siódma, no i co robić? Iść do pracy? W końcu nikt nas nie zwolnił od tego, więc idziemy do pracy. Przed siódmą zakład zamknięty. Znowu duża grupa ludzi zeszła się przy bramie i co dalej? Nie wpuszczają, odsyłają do domu, podali komunikat, że dadzą znać, kiedy trzeba przyjść do pracy. Więc ktoś rzucił hasło, żeby iść do kościoła i poszliśmy do kościoła taką całą ławą. Wtedy jeszcze był tylko jeden kościół, tzw. okrągły. Potem, koło ósmej czy może później, wyszedł ksiądz Jan Hryniewicz – bardzo rozsądny, stonowany głos. Był autorytetem, potrafił uspokoić, że jeszcze nic straconego, że trzeba iść do domu, trzeba pilnować zakładu pracy. Zaraz zarządził odprawienie mszy świętej, msza się odbyła i rozeszliśmy się do domów. Następnego dnia znowu poszliśmy pod zakład, znowu nie wpuszczają. Nie pamiętam po ilu dniach, po dwóch czy trzech, weszliśmy do zakładu. Już w każdej większej komórce był dyrektor komisaryczny. W moim Zakładzie Badawczo-Rozwojowym był taki major Tarka, dyrektor komisaryczny, ale miał poprzedniego zastępcę, cywila naszego, tak było zresztą na ogół, i w tych komórkach zaczęliśmy pracować.

Data i miejsce nagrania	2006-01-05, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Elżbieta Zasempa
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"